

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 24-go marca 1945r.

Rok VII. Nr. 12

TO W ARZYSZE BRONI

TRZY ZNAKI

Prawdziwa przyjaźń i koleżeństwo powstaje nie przy spotkaniu towarzyskim czy przy kieliszku, ale we wspólnym trudzie lub we wspólnym pokonywaniu przeszkód. A już nie ma mocniejszych węzłów koleżeństwa nad te, które zawiązują się na wojnie: te same trudy i warunki życia, te same niebezpieczeństwa, te same rany i ta sama groza śmierci — są jak cement, co spaja na wieki.

Braterstwo broni powstałe w czasie obecnej wojny między nami a Brytyjczykami, Amerykanami, Kanadyjczykami i żołnierzami wszystkich dominiów Imperium Brytyjskiego oraz Francuzami, Belgami, Norwegami, Jugosłowianami, Grekami — trudno wliczyć wszystkie te przyjazne nam narody — to koleżeństwo pozostanie trwałe i nienaruszone.

Żołnierz nie jest politykiem, a często na polityce się nie zna. Mężowie stanu mogą się targować, przyrzekać najuroczyściej, zapominają o tym co wczoraj przyrzekli, nazywać białym to co jest czarne — to ich sprawa. Żołnierz tego nie zna i nie lubi, a już szczególnie żołnierz na froncie: tchórzostwo nazywa tchórzostwem, zdradę — zdradą, dezercję — dezercją, opuszczenie towarzysza w potrzebie — podłością. Ba, żołnierz patrzy po swojemu na nieprzyjaciela, z którym walczy, częstokroć inaczej, niż politycy. Żołnierza stać na takie uczucia ludzkie w stosunku do nieprzyjaciela, jak szacunek dla jego dzielności i waleczności lub życzliwość i pomoc dla rannego. Żołnierz walczy nie jak zwierzę, ale jak człowiek, chociaż wojna nie ma w sobie nic ludzkiego i zazwyczaj wyzwała w człowieku najgorsze instynkty.

Prawdopodobnie dwa tysiąclecia chrześcijaństwa, kultura i cywilizacja wieków, oraz głęboko wpojone poczucie praw boskich i ludzkich sprawiają, że wśród tego rozpętania diabelskich mocy, jakim jest wojna, żołnierze narodów kultury rzymskiej starają się zachować jak ludzie i jak chrześcijanie. Jest w tym wielka siła, ta sama siła, co prowadziła wyprawy krzyżowe o uwolnienie grobu Chrystusa, co zatrzymała hordy mongolskie pod Lignicą, co obroniła Częstochowę od Szwedów i co dała odsiecz Wiedniowi.

Zrodzone w czasie tej wojny braterstwo broni i koleżeństwo między żołnierzami różnych narodowości jest też jednym z przejawów tej siły. I tak jak członkowie jakiegoś tajnego związku — rozpoznają się ci żołnierze różnojęzyczni między sobą według tych samych znaków: Bóg — jako idea, prawo — jako zasada postępowania, wolność — t.j. wolność narodów, państw i jednostek ludzkich wewnątrz tych państw — jako cel tej wojny.

Oczywiście, nie znaczy to, że każdy żołnierz właśnie tak zawsze myśli, że zdaje sobie jasno sprawę z tego w codziennym życiu; bynajmniej, i to jest zrozumiałe, bo ten żołnierz przecież urodził się i żyje w warunkach, gdzie te zasady niepodzielnie panują i są czymś naturalnym, czymś co się rozumie samo przez się, jak dzień i noc, lub słońce, albo tak powszechnym i normalnym, jak wodociąg i elektryczność. Tych rzeczy się nie zauważa, bo one są i nie może ich nie być.

To wszystko razem wzięte jest jednym z bardzo poważnych czynników przyszłego braterstwa lu-

dów, przysłej jakiejś społeczności narodów świata.

LOS ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ

Na tym tle rażąco odbija tragiczny los innych naszych towarzyszy broni, naszych i naszych wielojęzycznych tutejszych kolegów — towarzyszy broni, którzy nam są najbliżsi i najdrożsi, bo są to nasi bracia: żołnierzy Armii Krajowej. Wspomniał, najlepszych żołnierzy świata.

Żołnierz Armii Krajowej nie znał tych wszystkich udogodnień, jakie dla nas tutaj i dla wszystkich żołnierzy alianckich są czymś nieodzownym, czymś, bez czego nie można, zdawało by się, walczyć: ogromnej maszyny służby zaopatrzenia, wspaniałych szpitali, domów wypoczynkowych, kantyn, N.A.A.F.I., Y.M.C.A., poczty polowej, urlopów, itd. itd. Żołnierz ten musiał sam sobie wywalczyć wszystko — nawet broń i amunicję, umundurowanie i żywność, środki opatrunkowe i środki łączności.

Miał tylko w sobie samym trzy

rzeczy: miłość Ojczyzny, wierność przysiędze i wiarę w zwycięstwo dobrej sprawy. Skromny rynsztunek żołnierski, ale jak przy tym wspaniały! Tego wyposażenia nikt nie mógł mu dać, ale i nikt też nie był w stanie odebrać. Chyba — śmierć.

Żołnierz ten nie miał za sobą oparcia o jawne parlamenty, jawne ministerstwa i sztaby, o jawną i powszechną opinię publiczną: to wszystko było w ukryciu, pod ziemią, w mrokach tajnej choć potężnej organizacji.

Nie miał tej świadomości nawet, że swoim ciężkim trudem okupuje spokój i bezpieczeństwo dla swoich najdroższych: przeciwnie, był przez swoją żołnierkę przyczyną ich ciągłego niebezpieczeństwa i narażenia.

Nie miał poklasku społeczeństwa za swoje czyny bojowe, bo za te czyny groziła mu śmierć z ręki tych, którzy to społeczeństwo zamienili w niewolników.

Nie miał pewności, że będąc ranny znajdzie spokój oraz należytą opiekę i wypoczynek w szpitalu: rana stwarzała nowe niebezpieczeństwo ujawnienia się

wobec Niemców i, rzecz jasna, egzekucji. Trudno jest wyobrazić sobie te warunki, w jakich walczył żołnierz Armii Krajowej. A walczył przez pięć lat.

ODRZUCONE BRATERSTWO WALKI

Nie jest jeszcze możliwe ustalić jak wielkie były z punktu widzenia operacyjnego dokonania Armii Krajowej. W przyszłości bez wątpienia ustalą to historycy. Dziś można już z całą pewnością stwierdzić, że działania Armii Krajowej były bardzo pomocne dla ofensywy Armii Czerwonej w 1944 r. Na rzecz Armii Czerwonej i w porozumieniu z jej dowódcami działały całe dywizje polskie. Tego faktu nie zmienia, jest on znany zarówno sowieckim żołnierzom, jak i nam, jest on utrwalony w dokumentach. Żołnierz polski walczył ramie przy ramieniu, dla jednej sprawy z żołnierzem sowieckim, niepomny przeszłych krzywd i uraz.

Ale w tym wypadku nie powstało koleżeństwo ani braterstwo broni. Zamiast uznania dla towarzyszy broni, zamiast

żołnierskiej wdzięczności i przyjaźni — żołnierze Armii Krajowej doznali i ciągle doznają przesładowań, uwięzień i deportacji. Inni zostali rozstrzelani. Zapewne nie robili tego sami żołnierze sowieccy, prawdziwy żołnierz nie lubi katowskiego rzemiosła. Ale za żołnierzem sowieckim szedł wszechwładny N.K.W.D., bądź jawnie, bądź pod płaszczykiem "komitetu lubelskiego."

I oto z bohatera, z najtwardszego bojownika o wolność, żołnierz Armii Krajowej stał się "faszystą", "wrogiem narodu", stał się szcztym zwierzem. Nikt nie zna losu tych, którzy dostali się w ręce nowych władców Kraju. Przeważnie ślad o nich ginie. Przypominają się ponure słowa z 1939 i 1940 r.: "iz Rossiji wozwrata niet" /z Rosji się nie wraca/. Prawdopodobnie też ludzie ci nie powrócą, albo powrócą, jeżeli dożyją, dopiero wtedy, gdy wszystkie cele polityczne zostaną już osiągnięte i ich obecność nie będzie mogła nic zmienić.

Alianci w czasie powstania Warszawy uznali Armię Krajową jako armię regularną. Niemcy potraktowali jeńców z Warszawy według prawa międzynarodowego — mamy przecież adresy ich z *Oflagów* i *Stalagów*. A ci, dla których Armia Krajowa bezpośrednio działała — ci nie uznali jej za towarzysza broni. Nawet nie uznali za wroga, który przecież wśród narodów cywilizowanych cieszy się pewną opieką i prawami w wypadku wzięcia do niewoli. Nie stać ich było na szacunek żołnierski dla walecznych. Więc uznali — za przestępców, tak jak i Naczelnego Wodza tej armii, generała Bora.

KTO SIĘ UJMIE ZA KRZYWDĄ

My, najbliżsi tamtym przesładowanym, nie możemy zrozumieć tej okrutnej niesprawiedliwości, tej strasznej krzywdy. Wiemy, że jesteśmy bezsilni, że wołanie nasze nie będzie usłyszane, że nic nie możemy zrobić, by uratować naszych braci i położyć kres tym przesładowaniom. Wiemy, że nie będziemy nawet rozumiani, bo nasze znaki rozpoznawcze: Bóg — jako idea, prawo — jako zasada postępowania, wolność narodów i jednostek ludzkich — jako cel tej wojny, nie są tam znane, ani nie są tam uznawane. Przeciwnie, są przesładowane.

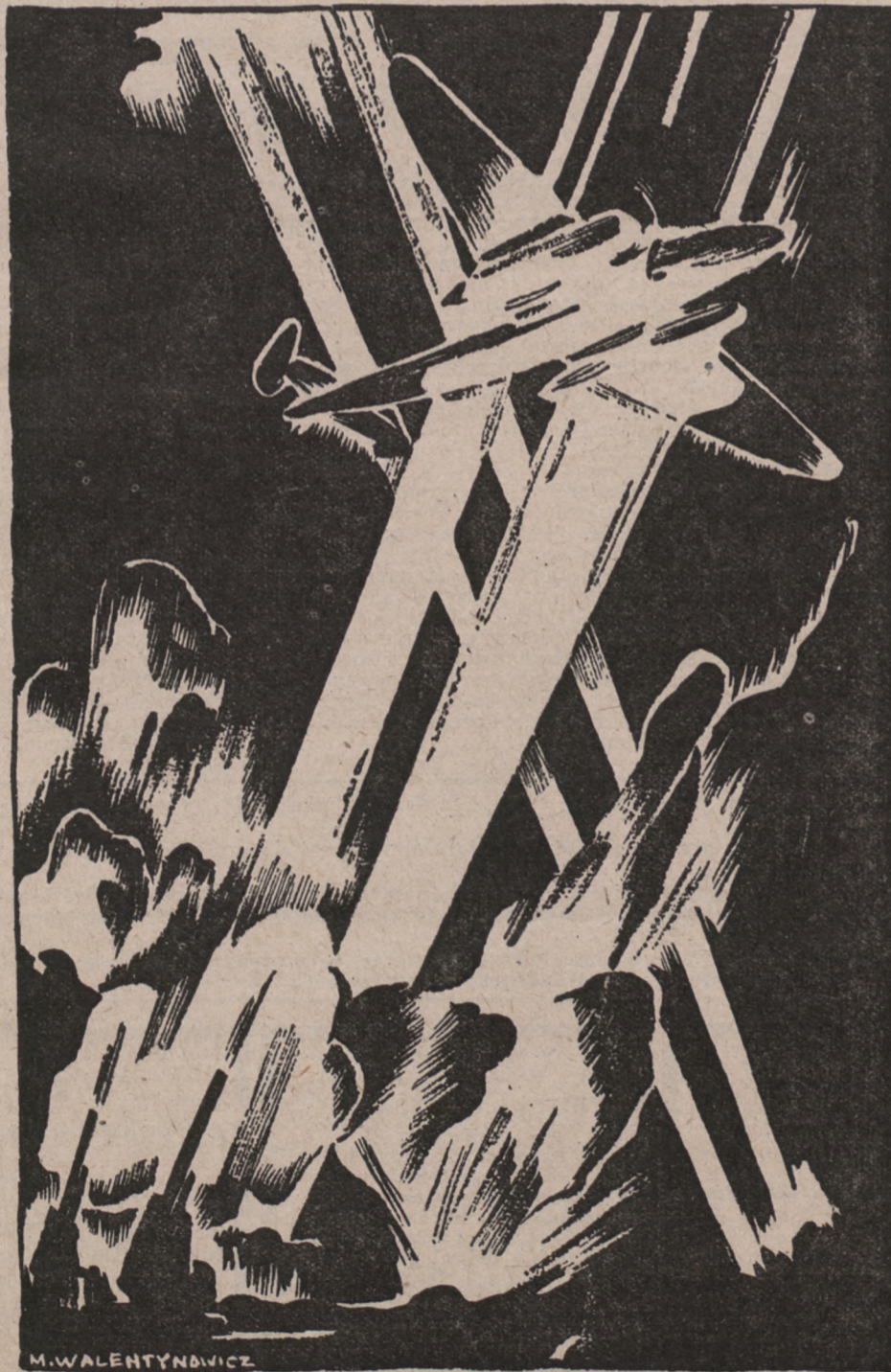
Taka jest rzeczywistość, chociaż trudno w to uwierzyć, aby taką zapłatę odbierał prawy żołnierz od swoich "towarzyszy broni." Chcielibyśmy im przebaczyć w imię miłosierdzia chrześcijańskiego, do którego wzywał ks. biskup Westminsteru Griffin w swoim przemówieniu. Ale kto przebaczy w imieniu tych rozstrzelanych i tych zmarłych na wygnaniu?

Więc my, Polacy, możemy tylko protestować albo myśleć o przebaczeniu tych krzywd. Innej pomocy dzisiaj nie jesteśmy w stanie okazać żołnierzom Armii Krajowej.

Ale, być może, nasi różnojęzyczni towarzysze broni z sił zbrojnych zjednoczonych narodów zastanowią się nad strasznym losem ich towarzyszy broni tam, w Polsce, i nie opuszczą ich w niedoli, bodaj tylko w imię jedności wiary i jedności kultury, jeżeli nie w imię uczciwości, ludzkości i braterstwa broni?

KONNY ARTYLERZYSTA

MARIAN WALENTYNOWICZ: Nocne bombardowanie



M. WALENTYNOWICZ

MacArthur wraca na Filipiny

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

II. Filipiny — wyspa chrześcijaństwa na Dalekim Wschodzie



Partyzanci filipiński walczący przeciw Japończykom

M.p. lutu 1945

Gdy opisuję przebieg walk na odległych i tak mało znanych polacach Azji i Pacyfiku, nie czuję potrzeby wdawania się zbyt szczegółowo w historię i opis kraju, w którym i o który walki się toczą. Cóż zresztą ciekawego można by napisać o historii, dajmy na to Papui lub Holenderskiej Nowej Gwinei? Nie warto — sędzę — wspominać awantury, jaką na Konferencji Wersalskiej urządził malowniczy premier Australii prezydentowi Wilsonowi o terytoria pobliskie, przewidując już wtedy japońskie niebezpieczeństwo.

Wydaje mi się jednak, iż zupełnie inaczej rzecz wygląda, gdy zajmujemy się krajem tak innym od reszty pobliskich terenów, jak Filipiny. Filipiny, kraj, w którym — jak nigdzie indziej — zmieszaly się kultury Chin, Malajów i inne, zanim opanowała je chrześcijańska i feudalna kultura Hiszpanii, by z kolei ustąpić na rzecz zachodniej kultury i cywilizacji amerykańskiej. Dlatego ta osobliwa mieszanina ras i kultur, religii i cywilizacji stworzyła naród zupełnie inny od reszty Azji, do czego zresztą przyczyniła się ponadto wyjątkowa polityka kolonialna demokracji amerykańskiej.

Rasowy skład ludności archipelagu obejmuje rozmaite typy od murzyńskich /lub pokrewnych/ do mongolskich z całą gamą mieszanców, mających w sobie krew chińską, hiszpańską, meksykańską i wreszcie amerykańską. Bardzo znaczna część przodujących Filipinczyków należy do "mestizos" — mieszanców, co zresztą nie powoduje dla nich żadnych ograniczeń /m.in. obecny prezydent Osmena jest mieszancem chińskofilipińskim/.

W okresie między dwunastym a piętnastym wiekiem wpływ państwa hindusko-malajskiego na Sumatrze usunięty został na korzyść imperium buddyjsko-jawajskiego. Niedługo potem fala ekspansji arabskiej opanowała południowe wyspy archipelagu, jak Sulu i Mindanao i posuwała się ku północy, gdzie starła się z wpływami hiszpańskimi. Hiszpanie po raz pierwszy odwiedzili Filipiny w roku 1521, zaś osadlili się na dobre w kilkadziesiąt lat później.

Przez trzy wieki kolonizacji hiszpańskiej wszelkie prace kolonizatorów miały na celu bogacenie kraju macierzystego i urzędników kolonialnych, zaś w zakresie kulturalnym — szerzenie religii katolickiej. Dopiero w siedemnastym stuleciu za ożyli Hiszpanie szkoły i uczelnie wyższe, niektóre z nich osiągnęły wysoki poziom i istnieją nadal. Hiszpanom udało się rozciągnąć swą władzę nad krajem, w którym nie istniała wówczas jakakolwiek świadomość spójni narodowej. Jedynymi szczepa-

mi, które pozostały poza wpływami hiszpańskimi byli Morosi /mahometanie/ na południowych wyspach oraz poganie w górach Luzonu i na Mindanao. Cele swoje osiągnęli Hiszpanie nie tylko przez aparat polityczny, ale też w dużym stopniu przez misjonarzy katolickich. Chrześcijaństwo przeżyło w tym azjatyckim kraju wiele powstań przeciw władzy Hiszpanii, a nawet kilka przeciw Kościołowi. Ostatni spis ludności, przeprowadzony w 1939 roku ustalił liczbę chrześcijan na Filipinach na 91% / w tym 79% katolików i 10% Aglipayanów, wyznawców rodzaju kościoła narodowego z zachowaniem form Kościoła katolickiego/.

Mimo, iż jest ogólnie przyjętym zwyczajem bagatelizowanie roli kolonizatorów hiszpańskich na Filipinach, Amerykanie sami przyznają, iż wpływy kulturalne Hiszpanii przeniknęły głęboko we wszystkie warstwy ludności. Hiszpania wprowadziła na wyspach cywilne prawo rzymskie, religię, kulturę i język jednego z najbardziej wówczas rozwiniętych narodów Europy Zachodniej. Przez małżeństwa mieszane pozostawili Hiszpanie kilkaset tysięcy mieszanców, którzy należą do elity umysłowej kraju.

Mimo wielu dobrodziejstw kulturalnych i cywilizacyjnych Hiszpanie nie zdołali zapewnić sobie lojalności i przywiązania Filipinczyków. Wysokie podatki, arbitralne rządy mające przede wszystkim na celu wzbogacenie urzędników administracji hiszpańskiej i miejscowej arystokracji, wywoływały stałe niepokoje i zaburzenia. Wreszcie w 1896 roku wybuchło powstanie przeciwko Hiszpanom pod wodzą wielkiego Filipinczyka i pierwszego bohatera narodowego Jose Rizal. Patrioci filipińscy zaatakowali garnizony hiszpańskie i powszechna walka na wielu wyspach archipelagu rozgorzała na dobre.

Walka przeciągała się dość długo bez wyniku, gdy rozpoczęła się wojna hiszpańsko-amerykańska. Flota admirała Dewey'a rozbiła flotę hiszpańską i zajęła Manilę. W Traktacie Paryskim z r. 1898 Hiszpania zrzekała się prawa do Filipin, jednakże dopiero w trzy lata później przywódca powstańców Aguinaldo pojmany został przez Amerykanów i zgodził się złożyć przysięgę lojalności wobec Stanów Zjednoczonych.

Podstawowe zasady polityki i postępowania władz amerykańskich na wyspach filipińskich ustalone zostały w instrukcji prezydenta McKinley'a z 1900 roku. Wtedy, gdy żadne mocarstwo kolonialne nie bawiło się /przynajmniej na terenie posiadłości, zamieszkałych przez kolorową ludność/ w demokrację czy samorząd — Stany Zjednoczone od początku

swego panowania na Filipinach przyjęły dwie wytyczne: dążyć do tego, by Filipiny były rządzone dobrze i by były szybko przygotowane do samorządu. Już w najwcześniejszych aktach władzy ustawodawczej i wykonawczej Stanów Zjednoczonych podkreślono wyraźnie postanowienie nienadawania obywatelstwa Stanów Zjednoczonych mieszkańcom wysp oraz brak zamiaru ze strony metropolii do utrwalania na stałe swej władzy na wyspach.

W najogólniejszych zarysach okresu panowania amerykańskiego na wyspach podzielić można na następujące etapy:

1. Okres władzy wojskowej i powstania Aguinaldo, w czasie którego założono wiele szkół, wprowadzono szereg praw i dokonano reform zdrowotnych.

2. Przejście od władzy wojskowej do cywilnej, w czasie której Prezydent Stanów Zjednoczonych powołał do życia Komisję Filipińską, jako ciało doradcze. W tym czasie założono ok. 5000 szkół, wprowadzono nowy system sądowy i monetarny, dokonano spisu ludności i rozpoczęto planowe roboty publiczne.

3. W czasie od 1907 do 1915 wprowadzono Zgromadzenie Filipińskie, pochodzące z wyborów jako Izbę niższą, zaś mianowana Komisja stała się Izbą wyższą. W tym okresie prowadzono nadal rozległe prace rozwojowe, roboty publiczne, rozszerzano sieć komunikacyjną i t.d.

4. Prezydent Wilson zamiano-

wał Komisję Filipińską, złożoną w większości z tubylców w 1915 roku, rozpoczynając tym samym erę "filipinizacji" kraju. Rok później ustawa Jones'a zastąpiła Komisję przez Senat, oddając w ten sposób władzę ustawodawczą w ręce ludności miejscowej — z pewnymi ograniczeniami na rzecz Generalnego Gubernatora i Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wzrost funkcji administracyjnych spowodował oczywiście zwiększenie liczby urzędników, co zostało wykorzystane przez władze amerykańskie, do zwiększenia ilości urzędników miejscowych. W 1921 roku Amerykanie stanowili 4% urzędników. Stosunek procentowy Filipinczyków w samorządzie miejscowym wynosił niemal od początku ok. 99%.

Na samym prawie początku pierwszej kadencji Roosevelta Kongres St. Zjednoczonych przeprowadził ustawę, nadającą Filipinom niepodległość. Niepodległość miała się stać pełną dnia 4 lipca 1946 roku, ostatnio zaś data jej została przesunięta na dzień całkowitego wyzwolenia spod okupacji japońskiej.

W pierwszych wyborach prezydenckich Manuel Quezon wybrany został prezydentem, zaś główny jego rywal — Sergio Osmena — wice-prezydentem Republiki.

Nawałnica wojenna, która 7 grudnia 1941 roku uderzyła o brzegi archipelagu przerwała pokojowy rozwój Filipin. Tajne przenikanie Japończyków trwało już od dość dawna, tak że gdy chmury

zaczęły nadciągać — prezydent Roosevelt mianował byłego Szefa Sztabu Generalnego Armii Amerykańskiej, generała MacArthura dowódcą Armii Amerykańskiej na Dalekim Wschodzie. W owym czasie generał MacArthur zajmował stanowisko doradcy wojskowego rządu filipińskiego w stopniu marszałka armii filipińskiej. Powołany ponownie do czynnej służby wojskowej przystąpił on natychmiast do reorganizacji armii i wzmacniania stanowisk obronnych. Jak beznadziejne to było — widzimy dopiero teraz. Mimo to oddziały amerykańskie i filipińskie wytrwały w bohaterskiej obronie półwyspu Bataan a potem twierdzy Corregidor do 6 maja 1942 roku, zaś w mniej dostępnych okolicach kraju uformowały się amerykańsko-filipińskie grupy partyzanckie, które w znacznej mierze pomogły w przygotowaniach i przeprowadzeniu obecnych zwycięskich operacji wojskowych.

Mimo, iż w Manili powstał rząd Quislingowski z udziałem wybitnych Filipinczyków, rząd na wygnaniu pod przewodnictwem prezydenta Quezona, a po jego śmierci prezydenta Osmeny funkcjonował w Waszyngtonie przygotowując się do objęcia władzy i przeprowadzenia wszystkich reform, związanych z uzyskaniem zupełnej niepodległości kraju.

Pod tym względem przynajmniej Filipinczycy mają szczęście...

RYSZARD KRYGIER



Pierwszy "łazik" amerykański na ziemi Filipin



Czołg amerykański na jednej z wysp filipińskich: Luzon

